Urząd Miasta Nowego Sącza
Sala Posiedzeń

Finał VIII Edycji Małopolskiego Konkursu Literackiego dla Młodzieży „Pióro Splotu”

Jury (od prawej): Wojciech Kudyba, Paweł Szeliga, Andrzej Warzecha, Bruno Vastmans, Małgorzata Gucwa-Fiut

Pani dyrektor Beata Budzik wśród uczestników "Pióra Splotu"

Jury i laureaci konkursu

Fotografie Monika Durmała

Dziennik Polski Nowosądecki o „Piórze Splotu”

Talenty uwolnione z szuflad

NOWY SĄCZ. Nagrody dla młodych poetów i prozaików

– Pamiętajcie, że skoro macie talent, to wszyscy będą od was więcej wymagać. To wielki dar, ale i zobowiązanie – przekonywał uczestników i laureatów VIII Małopolskiego Konkursu Literackiego dla Młodzieży „Pióro Splotu” Waldemar Olszyński, dyrektor Wydziału Edukacji Urzędu Miasta.

Podobnie jak w poprzednich edycjach jury pod przewodnictwem Andrzeja Warzechy – poety, krytyka sztuki i publicysty „Dziennika Polskiego” – wybierało najciekawsze prace w dwóch kategoriach: senior i junior z podziałem na prozę i poezję. W tym roku 136 autorów nadesłało 154 teksty. W prozie pojawiły się interesujące, urozmaicone formy narracji, a w poezji dominowały tematy egzystencjalne. Nie brakowało wierszy nacechowanych nietuzinkową wyobraźnią poetycką. Seniorzy odebrali nagrody pieniężne, juniorzy na razie muszą zadowolić się nagrodami książkowymi.

W kategorii poezja junior pierwsze miejsce przypadło w udziale Aleksandrze Stelmach z Nowego Sącza. Jury doceniło dojrzałe artystycznie i emocjonalnie opracowanie tematów związanych z subkulturą młodzieżową. Wśród młodych prozaików najlepsza okazała się Paulina Uszko z Ubiadu. Doceniono jej opowiadanie pt. „Dziewczyna zmyślonego poety” nagrodzone za wyszukaną wyobraźnię i sprawność warsztatową. W kategorii poezja senior pierwszą nagrodę odebrał Gabriel Ojrzanowski z Muszyny doceniony za odwagę artykułowania realistycznych obrazów współczesności. W kategorii prozy seniorów pierwsza nagroda przypadła w udziale Ewie Klewar z Nowego Sącza. W jej opowiadaniu pt. „Sukienki” dostrzeżono bogactwo wyobraźni ujęte w zwięzłą formę. Autorka odebrała też nagrodę prezydenta miasta za najlepszą pracę mieszkańca Nowego Sącza.

Gabriel Ojrzanowski z przewodniczącym jury Andrzejem Warzechą FOT. SZEL

– W kolejnych edycjach konkursu powtarzały się nazwiska uczestników – mówi Andrzej Warzecha. *– Często z roku na rok zdobywali oni wyższe miejsca, co świadczy o tym, że rozwijali warsztat i uczyli się na błędach. Bez ciągłej pracy nie ma sukcesu. A osiągnęło go już co najmniej kilku laureatów konkursu, którzy dziś publikują swoje teksty w pismach literackich.*

Dodajmy, że konkurs sponsorują Małopolskie Towarzystwo Oświatowe w Nowym Sączu, Zespół Szkół Społecznych Splot, Urząd Miasta, Starostwo Powiatowe, Społeczny Instytut Wydawniczy „Znak”, Wydawnictwo WAM i Wydawnictwo Literackie. Patronat medialny nad konkursem, od jego pierwszej edycji, sprawuje „Dziennik Polski”.

(SZEL)

NAGRODZONE PRACE

I nagroda w kategorii junior – poezja
Aleksandra Stelmach „Ariana” z Nowego Sącza

„Mała Emo”

Niebo wychodzi z popiołów
Liść ostatni pożegnał drzewo
Choć śnieg blady jeszcze nie pada

Idzie wpatrzona naprzód niemo
Ulicą
Mała emo
Młodsza siostra listopada

Na jeden –
- plecie białą linę
Na dwa –
- wspomni czyjeś imię
Na trzy –
- drży płomykiem na wietrze

W czarnym swetrze

Skrawkiem dłoni
Okryje
W wiecznej poniewierce
Swe serce pęknięte
Jak płyta nagrobna

Mała emo
Podobna
Do chichotu ciemnych skrzydeł motyli
Do stłumionego oddechu chwili

A gdy północ zabłyśnie
Na huśtawce
Zawiśnie
Powróż rzuci jej się na szyję
Nie żyje.

I zapomni.

I odleci

po raz trzeci

A gdy niebo okryje
Zórz szkarłatnych osnowa
We mgle swe serce
Pochowa

- - -
odżyje
gdzieś na świecie
okryje
chłodnym błękitem płomieni

Mała emo.
Córa jesieni.

Bruno Vastmans wręcza nagrodę Aleksandrze Stelmach

„Alfa Centauri”

Pomyślałam
że trzeba
gwiazdki z nieba
Niebo czarne, drzewa były
jak sztylety.
Byłeś głową i skinieniem
duszą
sercem i ramieniem

Może ty –
- a może nie ty.

Gdzieś
na jawie
w szkolnej ławie
coś drgnęło
Poprzez przestrzeń zabolało
i runęło.
Pogubiłam współrzędne
niewiadome
karuzele obłędne

Teraz jestem –
- już nie z tej planety.

I dojrzałam
poprzez palce
w ciągłej walce
Świadomości
Gdy bielały na pustyni
w tej szpiczastej świątyni
starych marzeń
martwe kości.

Wychylałam się zza węgła
W wielkości oczu wylękła
Wzlatywałam ponad gzymsy
Aby poczuc swoje twoje myśli

Kiedy znowu dotknę nieba –
- abyś znowu mi się przyśnił

Dałeś mi wiarę –
- ach, po co kłopoty!
Dałeś komplementy –
- pustych chwil łopoty.
Dałeś pół uśmiechu –
- bo nie będzie smutno
Dałeś duże lustro –
- to lustro to jutro
Dałeś kilka sekund –
- miałeś mało czasu
Dałeś nutkę pewności –

- wśród tajemnic lasu
Dałeś kontrargument –
- urwany - - wpół zdania

małej prawdy
niepewnośc
i
znak
zapytania
?

„Rozmowa z Małym Księciem”

Jesteś na odległej asteroidzie
Ja na Ziemi

Zatrzymam pod powiekami ten blask
Wszystkie gwiazdy to dzwoneczki
Wszystkie gwiazdy dadzą mi pic

Masz wygasłe wulkany
Ja – tylko… kryształy w słoiku

Odlatujesz na sinych piórach gołębi
Gdy odcięli mi skrzydła

Szukam przyjaciela tedy rzekłeś
Dotykałam bliźniaczego lustra

Szedłeś przez kwietny ogród
Dojrzałam piękno pod rzęsami

Wszystkie róże są takie same
Nad rachunkami przybyło marzeń

Zapłakałeś leżąc na trawie
Poryczałam się w rękach marynarki

Popatrz sercem powiedział lis
Zamknęłam ukochany zapach w rezerwacie

Upadłeś jak pada drzewo
Osunęłam się na krzesło

Popatrz najsmutniejszy krajobraz
Dwie wydmy jedna gwiazda

Mój świat
Czy o snach można zapomniec

II nagroda w kategorii junior – poezja
Magdalena Kościółek „Czarna Czarownica XYZ” z Nowego Sącza

Nagrodę odbiera Magdalena Kościółek

„Tancerka”

Tak cicho, tak lekko.
Muska ziemię stopami.
Płynie w powietrzu.
Cygańska sukienka w kolorze
ognistej czerwieni wiruje.
Dzwonią liczne bransoletki.
Hebanowe poskręcane włosy
rozwiewają się.
Gdzie muzyka?
Nie ma jej.
Jest tylko ona.
Samotna cyganka.
Tańczyła.
Tak cicho i lekko.
Umarła.
Kochali jej taniec.
Nikt nie kochał jej.

„Rozbite lustro życia”

Zbieram kawałki
lustra rozbitego
i widzę w nich swoją twarz:
tą obecną,
z przed dziesięciu lat,
tą z wczoraj…
płaczę nad lustrem i
nad moją głupotą.

Łzy sklejają je na nowo
i staje się ono mocniejsze.
Rany na dłoniach
zniknął niedługo,
jednak blizny pozostaną
na zawsze, jako pamiątka
mojej niezdarności.

„Jedna z nich”

Uderz mnie w twarz.
Popchnij
Nazwij zdzirą.
Zrób to.
Taka jestem w twoich oczach.
Wykrzycz to.
Głośno i wyraźnie:
jesteś suką.
Użyj tego słowa.
Nazwij jak chcesz.
Zniosę wszystko.
Wszystko wytrzymam.
Twoją nienawiść i złość.
Twój żal i ból.
Podnieś na mnie rękę.
Zadaj cios.
Powiedz jaka ze mnie szmata.
Tak myślisz.
Tak myślą inni.
Mam tylko nadzieję.
Taką małą.
Mianowicie, że nie zdziwi Cię
moja wczesna śmierć.
Zdziry nie zasługują by żyć.
Ja ponoć jestem jedną z nich.

III nagroda w kategorii junior – poezja
Jagoda Barciszewska „Rusałka” z Krynicy-Zdroju

„Maraton samotności”

Wciąż idziemy ścieżką czasu
W dal ku swemu przeznaczeniu,
I jak mrówki w gęstwie lasu
Nie wiemy o swym istnieniu

Mijamy się na ulicach,
Każdy smutny i stęskniony,
Wzdychamy w świetle księżyca,
Patrzymy w dal – w różne strony

Biegniemy ciągle w sztafecie;
Nauka, praca, kariera.
I coś zatracamy w tym świecie
Coś w nas bezpowrotnie umiera.

Samotni wśród tej pogoni,
Samotnością już zmęczeni,
Nie podamy drugiemu swej dłoni
Sami będąc na wpół – zaślepieni.

Przerwijmy ten wyścig szczurów!
Weźmy się wszyscy za ręce,
Rozbijmy ściany swych murów,
Więżących nas w ciągłej udręce.

Przez życie razem pójdziemy,
Odnajdziemy wspólne drogi,
A wtedy się dowiemy,
Że bez przyjaźni świat jest ubogi.

I razem w niebo gwieździste
Wpatrzeni w niemym zachwycie,
Westchniemy czasem cichutko:
Dziękuję… i – kocham Cię Życie!

„Sny”

Me sny są o miłości,
co smutek mój rozwieje,
w sercu mym cicho zagości,
a w życie tchnie nadzieję

tęsknoty me szalone,
marzenia szybujące,
me serce już stęsknione
i oczy niewidzące.

Bliskość serca drugiego,
co by w rytm mego zabiło,
choć raz spojrzenia czułego,
by życie mi odmieniło.

I ponad tłum szarych ludzi,
wznosić się w życia przestrzenie,
lecz jawa mnie ze snów budzi,
bo to jest tylko marzenie.

„Podróż”

Stuk puk, stuk puk,
to pociąg pędzi jak szalony.
Stuk puk, stuk puk,
w wagonach siedzą Oni.

Samotni wśród samotnych,
samotnością otoczeni,
ciągle smutni, cisi, niemi,
zasmuceni, zamyśleni.

Tik tak, tik tak,
zegar życia czas im odmierza.
Tik tak, tik tak,
i już prosto do końca zmierza.

Tych samotnych, wśród samotnych,
samotnością otoczonych,
ciągle smutnych, cichych, niemych,
zasmuconych, zamyślonych.

I nagroda w kategorii junior – proza
Paulina Uszko „Sonya” z Ubiadu

„Dziewczyna zmyślonego poety”

Uciekał. Coraz szybciej – byle tylko wyprzedzić wiatr. Cień nie ustępował. Woda w kałużach już dawno przestała go denerwować. Kolejne skurcze mięśni raniły jak ostrze żyletki, a deszcz był coraz cięższy. Jak gęsta maź, osadzał się na włosach, żeby z głuchym dźwiękiem opadać na zesztywniałe ramiona i spływać po rękach, zostawiając nieprzyjemny chłód i wilgoć. Od tego dostawał gęsiej skórki. Było coraz gorzej: teraz to już nie deszcz; teraz już wilgoć zdawała się zanikać. Może to monety? Miedziane, złote, srebrne. A wszystkie tak jasne, że zwykłe źrenice boleśnie się kurczyły. Nie, to diamenty – tylko one tak lśnią. Setki, miliony maleńkich jaśniejących cudów. Spadając, raniły głowę ostrymi krawędziami. Mistrzostwo szlifu. Jak wiele natura potrafi dać człowiekowi – tak po prostu, od siebie. Tylko, dlaczego było tak chłodno? Może to zima otworzyła swój skarbiec. Każdy wziąłby tyle, ile zdoła. Potem byłoby już pusto, a klejnoty – twarde i chłodne – zamilkłyby w kieszeniach przechodniów. Jak repliki serc – małe, ale precyzyjne.

Teraz było już naprawdę ciężko. Myśli gdzieś się zagubiły, pośród uderzeń mrozu, a cisza zaczynała przeszywać. Niebo rozszarpywały wciąż złote łańcuchy – jakby ktoś chciał trochę rozjaśnić to pustkowie. A okazałe kolumny latarni? Marmurowe posągi aktorów ze sceny? Tylko spiż zostawiał trwalszy ślad. Robiło się coraz ciemniej.

Nagle zrozumiał. Przecież nie może tu zostać – ona czeka. Pewnie zaczęła się już martwić. Co za brak odpowiedzialności! Krążyć pośród ułudy, a życie zostawić innym: jakby oni nie mieli własnych problemów. Następnym razem musi być bardziej rozważny, bo znów popełni błąd. Nic tak nie raniło i nie przynosiło takich ciemności, jak wilgoć jej oczu. Pojawiało się wtedy dużo iskierek – więcej, niż przeciętny „on” potrafił wytrzymać. I chociaż nie czuło się jej złości, to zawsze bolało. Teraz znów będzie musiał to przeżyć. Przecież byli już tacy szczęśliwi. Nie powinien był nigdy wybaczać sobie tego ostatniego razu, gdy ją zranił. Pamiętał to wciąż dokładnie. Albo może przez

mgłę…, ale pamiętał. Jej róż rozmył się na kościstych policzkach. Przez zaciśnięte wargi cedziła kolejne słowa pocieszenia. Tylko, dlaczego to ona?
Faktycznie - pamiętał już tylko przez mgłę.

A jej imię… piękne, delikatne. Działało jak balsam. Tylko wtedy, gdy sama je wymawiała. Przecież kochała to imię. Kochała deszcz i jego. Jedyna taka istota.

No tak, teraz sobie przypomina. To przed tym ucieka – przed zapomnieniem. Od zawsze uciekał. Ze strachu, czy z zawiści? Nie odbiorą mu wspomnień! Nie teraz. O czymś nie chciał zapomnieć – przeszłość wciąż przy nim była. Coś ważnego kiedyś się już stało – tylko co? Tak, to zmieniło wiele i przyniosło sercu ogromny ciężar. Albo raczej ulgę. Jak oni by to nazwali? Może „chwila", albo „pasja". Nie, to drugie było tylko umownym określeniem: umowę zawarł sam ze sobą – mniejsze ryzyko zdrady. Ale ciemno było wtedy z pewnością. I z pewnością reszty już nie pamięta.

Ach, te jej figlarne błękitne oczy. Śmiały się wtedy, gdy płakała, a gdy była radosna – mówiły prawdę. Zawsze tak przenikliwie patrzyła – podobno umiała od razu rozpoznać człowieka. Pewnie tak, chociaż ostatnich kwiatów się nie spodziewała. Musiała być równie mocno zaskoczona, co on sam, bo jej mądre oczy nawet nie drgnęły. Nic się nie zmieniło, a bukiet po prostu stanął w wazonie. Kupił kamienny, bo wystarczy na dłużej i nawet wiatr mu nie straszny. Zatonął w mroku.

Nadal szumiał deszcz, tylko jakby z daleka. Cicha „mruczanka" usypiała z każdym kolejnym dźwiękiem – współczesna muzyka. Było już ciepło i sucho, ale diamenty też gdzieś zniknęły. Tylko gdzie ta cisza? Jakiś okrutny zaborca zagłuszał każde westchnienie ulgi. Gęsta mgła sunęła dookoła, tuż nad ziemią. Woda rzeczywiście jest bardzo leniwa. Tak, teraz pamięta – to ten fotel i ta sama płyta w odtwarzaczu. Każda wielka i romantyczna chwila miała tu swoją nutę. A nuty tworzyły takty, rzędy, szeregi. I tak do końca melodii. To tutaj się poznali; to ten sam ryk starego silnika i ten sam zapach. Spaliny z taniego paliwa i jej perfumy. Trochę jak woń żelaza.

Wtedy też spojrzała tym oszałamiającym wzrokiem. Może trochę zmieszana, może po prostu poirytowana; ale patrzyła tak, jakby światła samochodu wcale jej nie przeszkadzały. Oczy miała otwarte szeroko, a usta wykrzywione w zagadkowym grymasie. Pewnie chciała się uśmiechnąć, ale uczucia bywają silniejsze od mięśni. W tym przenikliwym spojrzeniu można było utonąć. Jej duże czarne źrenice pochłaniały cały obraz świata – całą resztę. A gdy patrzyło się na nią z przodu, w tych pięknych oczach było się w centrum, w samym środku tej reszty. I to było najbardziej niepowtarzalne uczucie, jakiego mógł doświadczyć zwyczajny śmiertelnik.

Znów coś zadrżało. To już chyba idą po niego! Złapał kluczyki, ale ciało odmówiło mu posłuszeństwa. Dlaczego zawsze tak musi być? Próbujesz uciekać, a nadal stoisz w miejscu. Chcesz, żeby ktoś cię usłyszał, a z twoich ust nie wydobywa się nawet cichy pomruk. Złośliwość rzeczy martwych; wyobraźnia często się z nas naśmiewa. Deszcz był coraz bardziej odległy. Tylko pioruny biły nadal tuż obok – jakby ktoś na górze upuścił okulary i nie mógł trafić w ciało – ruchome źródło krwi. Coraz większy ból sprawiała muzyka.

Teraz już powinien wracać – przecież ona długo tak nie wytrzyma.

To nic, kochanie… To tylko noc się zbliża. Spotkamy się w parku, ale musisz czekać sama. Przyniosę ci diamenty.

- Jak się dziś czujemy? – starsza pani w poszarzałym fartuchu otworzyła szeroko drzwi, wchodząc do przytulnego pokoju. Zwinęła roletę w oknie tak, że promienie porannego słońca błyskawicznie rozlały się po żółtych ścianach i wpełzły na łóżko młodego, zaskoczonego mężczyzny. Ostra fala światła i głośny dźwięk uderzających o nylonową wykładzinę drewniaków tworzyły mieszankę wybuchową – raniły rozszerzone po męczącej nocy źrenice i rozchodziły się wzdłuż czaszki i kręgosłupa, powodując nieprzyjemny skurcz wszystkich partii mięśni.

- Co, złociutki, chcesz jeszcze odpocząć? – dało się słyszeć łagodny głos pielęgniarki. I akurat określenie „złociutki" było tutaj zupełnie na miejscu – wilgotna skóra leżącego lśniła w promieniach słońca, a jego szeroko otwarte oczy mieniły się czernią źrenic i złotem spojówek. Prawdę mówiąc, człowiek ten – ze swoją bladą, niezmiernie szczupłą twarzą i gęstymi ciemnymi rzęsami, przypominał bardziej chłopca, lub młodzieńca niż dorosłego mężczyznę.

Kobieta spojrzała na niego z litością i położyła mu na dłoni podłużną błękitną tabletkę.

- Powinieneś jeszcze trochę pospać – to mówiąc, pogładziła jego zmierzwione włosy i po cichu wyszła z sali, znikając szybko w głębi korytarza.

Gdyby ktokolwiek pojawił się tu po raz pierwszy, nie uwierzyłby, że tak wygląda miejsce, gdzie leczy się ludzkie traumy i przykre wspomnienia. Widocznie twórcy Hollywood zbyt często dają się ponieść wyobraźni, tworząc ciasne pokoje, pełne białych materacy. A przynajmniej tutaj tak nie było.

Mężczyzna po odejściu pielęgniarki z dużą trudnością usiadł na brzegu łóżka. Światło nadal raziło, ale przyzwyczajony umysł nie odczuwał już takiego bólu. Pacjent przez chwilę starannie nad czymś rozmyślał. Wyglądał tak, jakby właśnie dotarło do niego, że nie wie, które drzwi prowadzą do wyjścia i musi się dobrze skupić, żeby rozwikłać tę zagadkę. Trwało to przynajmniej kilka minut, zanim człowiek ten znów się poruszył. Wyciągnął bladą dłoń w stronę okrągłego stolika – leżała tam stara gazeta. Jak stara, tego już chyba nikt nie pamiętał, bo tytułowa strona dawno się gdzieś zawieruszyła. On pamiętał tylko, że dostał ją od sąsiada z drugiej sali – niedługo po tym, jak tu trafił. Z kolei ten sąsiad podobno ukradł ją nieco wcześniej woźnemu. I już wtedy gazeta nie była zbyt nowa. Dlatego teraz na stoliku leżał raczej stos przypadkowo dobranych kartek - pogniecionych i brudnych.

Mężczyzna przeglądał kolejne strony, czytając uważnie nagłówki i wszystko, co wyróżniało się rozmiarem czcionki. Gdy na podłodze leżało już dość dużo przejrzanych kartek, jego twarz nagle rozjaśniała w szerokim uśmiechu, odsłaniającym wszystkie białe zęby. A po chwili znów zamyślił się tak, jak wcześniej – jednak teraz na znacznie dłużej.

Na stronie, którą czytał widniało duże zdjęcie młodej dziewczyny. Była szczupła, blada i uśmiechnięta - jej oczy zdawały się śmiać do każdego czytelnika. Cały artykuł był opowieścią o jej wspaniałym życiu. Szkoła, studia, taniec, przyjaciele i kochająca rodzina – dlaczego nie wszyscy mogą mieć tyle, ile ona? Zapewne wielu spoglądało na nią z zazdrością.

Mężczyzna znów się uśmiechnął – to ona! Nigdzie nie znalazłby lepszej wybranki. Pewnie nadal na niego czeka.

Przeczytał do końca.

„Widziała nadjeżdżający samochód. Myślała, że kierowca zwolni, kiedy ją zobaczy. Pomyliła się – nie zwolnił. Dziewczyna zginęła na miejscu.”

II nagroda w kategorii junior – proza
Olga Respondek „Alenie” z Nowego Sącza

Nagrodę odbiera Olga Respondek

***

-Wstawaj! – obudził mnie głos Bena. Ben to mój młodszy brat i naprawdę jest nieznośny. Jak można trzymać taką ośmioletnią małpę w domu?! Ben ciągle szarpał kołdrę.

–Lindsay! Obudź się! – Lindsay to ja. Jestem brunetką. Mam zielone oczy. Jestem szczupła i… strasznie nudna. To nie ja, to moje życie jest cholernie nudne.

-Lindi! – krzyczał nadal, niemal po mnie skacząc. Czy on (tak jak i moja mama Juana) nigdy nie zrozumie, że nienawidzę, gdy ktoś zmiękcza moje imię w ten sposób?!

Podniosłam nogę tak, że mój braciszek potknął się o nią i spadł z łóżka prosto na twarz. Stał chwilę w miejscu patrząc się na mnie, potem chwycił się za nos. Zaczął krzyczeć i płakać. W końcu pobiegł do mamy. Wygramoliłam się z łóżka, ubrałam i wyszłam z domu do szkoły.

I znowu to samo. Znowu idę tą samą ulicą, tym samy tempem, o tej samej godzinie, w tym samym kierunki, w tych samych spodniach. Dzień w dzień to samo. Dzień w dzień przed szkołą czeka na mnie Maya i Jessica. Z Mayą przyjaźnię się od zerówki. Ma długie, rude loki i cudowną figurę. Z Jessy natomiast od gimnazjum. Jess ma krótkie czarne włosy, jasną cerę i błękitne oczy. Mogłaby brać udział w przedstawieniu o królewnie Śnieżce. Gwarantuję, że dostałaby główną rolę. We trzy weszłyśmy do szkoły. Jak zawsze. Chodzimy do szkoły prywatnej, gdzie nie ma „pustych" panienek zajmujących się tylko i wyłącznie czubkiem swojego nosa. Są za to inne „ciekawe" obiekty. Na przykład taka Monica. Właśnie siedzi na podłodze i sprawdza, czy oby na pewno dobrze zrobiła zadanie z matematyki. Albo dajmy na to Klara. Ta dziewczyna czyta po raz 27 „Krzyżaków", bo (jak twierdzi) „to takie fascynujące!" Ja osobiście nie widzę w tym ZUPEŁNIE nic fascynującego. A Gustaw? To dopiero dziwadło! Siedzi w stołówce i udziela korepetycji Serafinie, która udaje, że jest tym zainteresowana, a tak naprawdę interesuje ją tylko i wyłącznie on. Nie wiem co ona w nim widzi? Chociaż w sumie są do siebie podobni. Obydwoje mają aparat ortodontyczny, koszmarny trądzik i okulary wielkości denek od słoików.
-No proszę! Kogo ja tu widzę? – dobiegł nas głos. Tak. Sasha. Ten człowiek zupełnie nie pasuje do tej szkoły. Zupełnie jakby spadł z księżyca. Zupełnie jak ja. On też trafił tu prawdopodobnie z przymusu. Dla wielu dziewczyn jest naprawdę oazą, światełkiem w tunelu, nadzieją na przyszłość. Cóż. Nie dla mnie. Sasha jest z Afryki. Trudno byłoby się co do tego mylić. Jego odcień skóry rzuca się w oczy. Ma kolczyk w uchu, nosie i nie chce wiedzieć gdzie jeszcze. Ma ciemne włosy, jasne oczy i duże usta (co jest charakterystyczne dla tej rasy). Usta są jednym z jego atutów, bo to dzięki nim wszystkie dziewczyny na niego lecą. Oczywiście z wyjątkiem Serafiny i mnie. Szczególnie zainteresowana jest nim Maya. I tu jest cały ten problem.
-Witaj Lindsay . I co? Zastanowiłaś się, co z tym kinem?- dopytywał się. Tak. Dobrze myślicie. On chce się ze mną spotykać i ciężko przychodzi mu zrozumienie tego, że ja nie chce. Tak naprawdę jest tylko jeden człowiek, na którym mogłoby kiedyś mi zależeć. Taa! Już widzę to, jak „Pan Piękny" chce się ze mną spotkać! Marzenie ściętej głowy! Upatrzyłam sobie go siedem miesięcy temu. Wysoki, brunet, ciemne oczy, mulat, delikatny zarost, który dodaje mu męskości. Chodzi do liceum naprzeciw mojego. Problem w tym, że ja nawet nie wiem jak ma na imię.
-Sasha, mówiłam ci już, że nie lubię takich filmów – próbowałam się tłumaczyć.
-Możemy iść na inny. Obojętne jaki. Ty wybierz. Ważne żebym był tam z tobą.
O nie! Tylko nie teksty z telenowel!
-Wybacz Sasha, ale nie! – naprawdę staram się być dla niego miła, bo przecież nic takiego mi nie zrobił. Nie chciałam tylko kolejnych kłótni z Mayą, bo czułam jej wściekłość na plecach. Dlatego ani ja, ani Jess nie poruszamy tematu Sashy przy Mai. Szczerze mówiąc w ogóle go nie poruszamy.

Pierwsza lekcja. Druga. I w kółko to samo. Żadnych nowości. Muszę do toalety. Pan Watkins (z niechęcią, jak to on) puszcza mnie. W ubikacji na ziemi siedzi Laura – koleżanka ze starszego rocznika, z którą tak naprawdę nigdy nie miałam nic do czynienia. Kucnęłam przy niej. Wtedy zauważyłam coś, co mnie przeraziło. Wbijała sobie strzykawkę w napęczniałe żyły. Zaniemówiłam. Laura podniosła wzrok. Patrzyła na mnie. Nagle zacisnęła powieki i wbiła igłę. Kiedy zawartość strzykawki opróżniła się, otworzyła swoje załzawione i czerwone oczy, które niegdyś miały odcień morza. Zastanawiałam się, czemu jej nie powstrzymałam?
-Laura… co ty robisz?- bardziej beznadziejnego pytania chyba nigdy w życiu nie zadałam. Przecież to było oczywiste.
-Pomagam sobie – odparła krótko i spuściła rękaw zielonej bluzy. Ponownie popatrzyła mi w oczy, zaczęła płakać i przytuliła się do mnie. Gładziłam ją po jej jedwabistych włosach.
-Ach, Lindsay! Czuję, że tylko ty mnie zrozumiesz – szlochała. Nie wiedziałam, czy mam się z tego powodu cieszyć, czy płakać.
-Jak długo ćpasz?- spytałam.
-Od dwóch lat – wstała i zaczęła przeglądać się w lustrze.
-Po co to robisz?
-Mówiłam ci. Pomagam sobie. Chcę się wykończyć.
-Co ty wygadujesz?! Skończ z tym jak najszybciej! Jeszcze tyle przed tobą! –Właśnie odkryliście dobrą stronę mojego skamieniałego serca.

-Lindsay, ja nie chce się wykończyć tylko dla siebie. Chcę wykończyć także coś, co jest częścią mnie – nie rozumiałam o co jej chodzi, postanowiła powiedzieć mi to prosto z mostu:
-Lindi, jestem w 5 miesiącu ciąży – ta odpowiedź zszokowała mnie do tego stopnia, że zapomniałam, jak bardzo przeszkadza mi zdrobnienie mojego imienia.
-Ale… - chciałam coś powiedzieć.
-Nie Lindsay– przerwała mi, jakby wiedziała, co zamierzam– jest już za późno. On wiedział co robi. Zostawił mnie. Powiedział, że to moja wina.
-Laura! Przestań! Wszystko się ułoży! I z tobą, i z dzieckiem, tylko skończ ćpać!
-Za późno. Bez tego nie przeżyję. To, póki co, utrzymuje mnie przy życiu. To nic złego. Pamiętaj, że zawsze jak będziesz potrzebowała pomocy, to możesz na mnie liczyć – wzięła strzykawkę do ręki, mrugnęła mi okiem i schowała ją do torebki – i jeszcze jedno – dodała – niech to, co dziś tutaj widziałaś będzie naszym sekretem – wyszła. Jak gdyby nigdy nic wyszła. Zwyczajnie wyszła. A ja stałam. Zamurowało mnie dziś po raz kolejny. Przemyłam twarz zimną wodą i wróciłam do klasy. Najgorsze jest to, że zapomniałam się załatwić.
Powrót do domu. Oszukiwanie samej siebie. Lindsay, przecież nic nie widziałaś. Nic się nie stało. Gówno prawda. Ben był jeszcze w szkole. Z oddali było słychać telewizor i śmiech mojej mamy. Nienawidziłam go z całych sił. Był oznaką, że w domu zastanę to, co zwykle. To, czego tak bardzo nie znoszę. Mama była pijana. Było tak coraz częściej, choć obiecywała mi, że z tym skończy. Wstała z kanapy trzymając w dłoni butelkę wódki i chwiejnym krokiem zbliżała się do mnie.
-Witaj kwiatuszku- syczała.
-Znowu piłaś!
Moją uwagę puściła mimo uszu. Zaczęła się śmiać i wskazywać na telewizor, w którym leciał Benny Hill. Ten serial jest doprawdy żałosny. I głupi, i nie wiem co w tym jest śmiesznego. Chociaż jak jest się w takim stanie jak ona, to trudno to zauważyć. Rzuciła się na kanapę.
-Mark dzwonił, prosił żebyś go odwiedziła – podgłośniła telewizor jeszcze bardziej. Mark to mój tata. Siedzi w więzieniu za handel prochami. Od razu wyszłam z domu. Nie mogłam już patrzeć na to, jak moja mama się stacza i nie mogłam już słuchać tej durnej melodyjki z Benny`ego Hill`a. Poszłam do więzienia. Wylegitymowano mnie i przeszukano. W końcu udało mi się dotrzeć do mównicy, przy której czekał na mnie już mój tata. Rozmawialiśmy o szkole i Benie, bo o Juanie nawet nie chciał słuchać. Powiedziałam mu także o Laurze. Zachowywał się tak, jakby ją popierał. No tak, bo to dla niego czyste zyski. Zdenerwowało mnie to. Wyszłam. Tym razem poszłam naokoło, bo nie chciałam wracać do domu z przyczyn oczywistych. W pewnym momencie znalazłam się na alejce tzw. „wielkich domów", które z czymś mi się kojarzyły. W szóstej klasie byłam w jednym z nich na urodzinach Laury. Latałam od domofonu do domofonu szukając jej nazwiska aż w końcu znalazłam. Nacisnęłam na przycisk.
-Tak? – odezwał się kobiecy głos.
-Dzień dobry. Mówi Lindsay Popkins, czy zastałam może Laurę?
Drzwi domu uchyliły się i wyszła blada koleżanka.
-Lindsay, co ty tu robisz?
-Musisz mi pomóc.
Laura poprosiła, bym zaczekała. Ubrała kurtkę i powiedziała, że zaprowadzi mnie w miejsce, gdzie już nie będę miała problemów i moje życie całkowicie się odmieni. Bez słowa poszłam za nią.
Przede mną znajdował się odrapany blok. Zeszłyśmy na dół do piwnicy. Laura zapukała do dużych, szarych drzwi z wielkim „X".
-Kto?! – usłyszałam gruby, męski głos.
-Laura. Jestem z nową.
Nową? Jestem nowa? Nowa w czym? Już z daleka wyczułam nieprzyjemną woń papierosów. Za chwilę miały otworzyć się „wrota do mojego szczęścia". Ciekawe co za nimi ujrzę…

III nagroda w kategorii junior – proza
Kamila Cyfra „Ugniatacz słowa” z Nowego Sącza

"Zdejmij okulary"

Mijając kolejne budynki podtrzymywałem ręką spadające z nosa okulary, mój łącznik z rzeczywistością. Czarne, w grubej plastikowej oprawie, ich szkła były moim zwierciadłem. Widziałem grymasy na twarzach, tłuszczyk delikatnie odłożony pod brodą, jeśli dobrze się przyjrzałem, mogłem nawet zobaczyć białą maź wychodzącą z niedoskonałości na twarzy chłopca ubranego w skórzaną kurtkę. Mijając kolejne osoby podtrzymywałem ręką spadające z nosa okulary.

Siedziałem na fotelu w cieple mieszkania trzymając w rękach kupioną kilka godzin temu serwetkę. Palcami wędrowałem po jej wzorach czytając zawartą historię. Ta okazała się wyjątkowo przygnębiająca. Rzuciłem serwetkę na dywan, leżała teraz obok dwudziestu czterech innych serwetek kupionych kilka godzin temu.
- Zawiodłyście mnie. Żadna z was nie zasługuje na moje towarzystwo -wyznałem gorzką prawdę. Dzień później oddałem serwetki upierdliwej sąsiadce.

Lubiłem wchodzić do drugiej sfery, tej do której wchodzi się, gdy zdejmie się okulary. Widziałem wtedy nowe kształty, moja świadomość unosiła się ponad człowieczeństwo. Ciało nie należało do mnie, było inną rzeczą, patrzyłem na nie z lotu ptaka, patrzyłem na moje imię i nazwisko. Mój umysł miał swoją nazwę, nazywałem się po cichu "superpilotem", sterowałem dwoma rękami, dwoma nogami, mogłem zrobić tak, by trzepnął tą kobietę w głowę, by położył się i leżał. Ciało było moim narzędziem zbrodni. Mogłem wejść w nie w każdej chwili. Wtedy, już oczami, patrzyłem na kolory osobowości, mieszałem je tak, jak miesza się budyń w garnku, ulica była szarością, samochody kolorowymi strzałami wystrzelonymi z łuku starego Indianina, osoby stały się barwami zła i dobra. Obijałem się w pejzażu całego świata, nie wiedziałem gdzie stawiam stopę, cześć mojej materializacji. Huk w mojej głowie był nieznośny.
- Ślepy jesteś, palancie? - karcił mnie granatowy kształt o dziecięcym głosie.
- Granatowy to paskudny kolor- odpowiedziałem i założyłem okulary na nos.

Dwa miesiące później straciłem wzrok. Nie pamiętałem już jak wygląda granatowy. Nie kupiłem psa, za to dostałem od siostry białą laskę. Oddałem ją upierdliwej sąsiadce.

Mijając kolejne budynki podtrzymywałem ręką spadające z nosa okulary, mój środek na uspokojenie. Teraz zdejmując je mogłem wejść do nowej sfery, niedawno odkrytej. Stawałem się wtedy superpilotem mojego ciała, lecz tym razem wykorzystywałem możliwości. Kopałem bezdomne koty, nie będąc nawet pewnym czy moja noga w nie trafia, być może uszkodziłem czyjeś dziecko. Już nie

potrafiłem wydostać się z ciała. Umysł znajdował się tam, gdzie mają go wszyscy. Czułem, że moja głowa robi się z każdym dniem cięższa, przeklęta grawitacja. Właśnie odebrałem telefon od mamy, która codziennie upewnia się, że nie wpadłem pod samochód. Kiedyś zrobię jej to na złość.

Postanowiłem spróbować wejść do dawnej sfery. Wydostać się z ciała. Miałem ochotę na zabawę ze świadomością. Wykonałem niebezpieczny krok naprzód. Zdjąłem okulary. Stopy same poniosły mnie naprzód.

Mijając kolejne budynki trzymałem w ręce okulary, moją kurtynę rzeczywistości. Szedłem ślepo naprzód, potykałem się, przeklinałem. Do nogi przyczepiła mi się szeleszcząca reklamówka.
-Pieprzona folia- wierzgałem nogą. Gdy reklamówka odpadła, ruszyłem w stronę dropsów w błękitnej puspuszkę. Stary skąpiec.
Nie podzieli się, już na pewno to wiem. Pragnąłem mieć puszkę z dropsami, trzymać ją i delikatnie pocierać błękitne wieczko dłonią. Wiedziałem, że trzyma ją na kolanach. Zawsze myślimy, że na kolanach nasze rzeczy są bezpieczne, bo trzymamy je obiema rękami.
Jestem bardzo chytry. Przysiadłem się do niego szukając rękami powierzchni. Usiłowałem powstrzymać się od śmiechu, co było cholernie trudne, bo mój plan był bardzo sprytny. Przesuwałem zadek coraz bliżej tyłka skąpiradła. Głupiec nic nie podejrzewał, a jakże.
-Tak, to bardzo ładne dropsy- zagadywałem go z zaciśniętymi ustami. Liczyłem sekundy. Chciałem przełamać lody. Sprawną ręką chwyciłem puszkę. Pewnie nikt nawet nie zauważył, wykonałem błyskawiczny ruch, ruch niewidzialny gołym okiem. Miałem ochotę splunąć facetowi w twarz zanim zniknę, ale nie , ten który słyszy się w filmach, gdy dostajesz olśnienia. Do tego dążyłem całe życie.

Nie zjadłem dropsa. Sytuacja mnie przerosła, nie zniosłem napięcia. To jest tak, gdy marzysz przez całe dzieciństwo o rowerze, a jak już go dostajesz, stawiasz w wyznaczonym miejscu w pokoju i nie dotykasz go przez lata, żeby nie zniknął. Puszka stała na ołtarzu, nie mogłem jej dotknąć.miało zce.
Założyłem okulary na nos. Po przejściu kilkunastu metrów zatrzymałem się słysząc, jak język ssie podniebienie.
-Ma pan piękne dropsy-uwodziłem go- Bardzo kolorowe.
Usłyszałem jak przesuwa puszkę po ławce. Język oddalił się od podniebienia. Wieczko zamknęło to sensu. Nie trafiłbym.
Biegłem jak torpeda. Nogi wyskakiwały mi ze stawów. Próbowałem uregulować oddech. Ściskałem przy piersi błękitną puszkę z dropsami. Modliłem się tylko, żeby nie wpieprzyć się w słup.

Energicznym ruchem zatrzasnąłem drzwi. Oparłem się o nie plecami próbując złapać powietrze. Czułem, że zgubiłem jednego buta i kawałek prawej ręki. Buty były już schodzone, a ręka? Po cholerę mi ręka. Podeszłem do starego fotelu wlokąc za sobą dwie obolałe kończyny. Siadając wypuściłem ustami bardzo dużo powietrza. Poklepałem dłonią wieczko puszki. Obserwowałem ją w myślach. Wędrując palcami po jej powierzchni układałem całokształt. Widziałem, że w paru miejscach jest lekko wgięta, spód uginał się pod ciężarem dropsów. Brzegi wieczka zostały starannie wykończone, zaokrąglone, żebym się nie skaleczył. Zasnąłem z puszką w rękach.

O 17.00 zacząłem rytuał. Przygotowałem uroczystość. Na środku pokoju umieściłem drewniany taboret. Wyścieliłem go moją ulubioną serwetką, tą która nigdy mnie nie zawiodła. Pośrodku ołtarza stała puszka. Błyszcząca, kolorowa, puszka specjalnie dla mnie. Umyłem ręce. Powiedziałem jej, jaka jest piękna.

Drżącymi dłońmi otworzyłem ją.

Blask dropsów bił mnie po oczach. Tysiące kolorów uderzyło mnie w gały. Usłyszałem anielski głos

Co noc budziłem się z krzykiem. Pragnienie zżerało mnie od środka. Powoli przestawałem być sobą. Wyrzuciłem okulary. Biegałem co chwilę do pokoju, żeby popatrzeć na puszkę, tylko spojrzeć. Tylko udawać że patrzę.

Dwa miesiące później udławiłem się dropsem.

Wyróżnienie w kategorii junior-proza
Magdalena Piszczek „Enigma” z Bartkowej

„Czerwcowy Promyk”

Promyk ciepłego czerwcowego słońca przedostający się na siłę prze brudne okno, obudził ją niespodziewanie. Budzik jak zwykle nie zadzwonił. Spogląda na zegarek. Późno.

Wstaje szybko, lecz -uważnie- byle nie lewą nogą. Zbiega po schodach. W całym domu unosi się już zapach przypalonego mleka. Idąc niby do łazienki, spogląda przez uchylone dębowe drzwi kątem swego niebieskiego oka.

„Oczy niebieskie, życie królewskie…” – powiadają znajomi. Czy aby na pewno mają rację? Wydaje się jej, że wcale nie.

Śniadanie już na stole. Na zegarze dochodzi siódma. Z wielkim hukiem rzuca się w stronę łazienki. Jak zwykle zajęta. I znowu czekanie, jak co rano. Ta sytuacja coraz bardziej ją irytuje.

Po raz kolejny w tym tygodniu spóźni się do pracy.

Nareszcie.

Drzwi otwierają się. Wchodzi, energicznie zatrzaskując je za sobą. Spogląda w lustro. Nic się nie zmieniło. Ta sama zmęczona twarz, te same niebieskie oczy… a pod nimi- dwa siew półksiężyce. Kręcone blond afro odwraca uwagę od rudych piegów. Jej poranne użalanie się nad sobą przerywa głos radiowego spikera. Już 7.30. To, że po raz kolejny dostanie upomnienie, jest niemalże pewne. Między wydechami, a kolejnymi kęsami maślanej bułeczki, stara się wymyślić wiarygodną wymówkę. Co tym razem? Korki na drodze? Brak paliwa? Zepsuta skrzynia biegów? Nie, tym razem to nie przejdzie. Wreszcie wsiada do samochodu. Pasy- Radio– Jedziemy!

-Dziś mamy piątek, 13. imieniny obchodzą… do diabła z imieninami!

-Kierowców prosimy o ostrożną jazdę, sytuacja biomete…

-Boże! A już myślałam, że dzisiejszy dzień stanie się dowodem na to, że nie każdy trzynasty piątek jestpechowy.

Teraz już na pewno spóźni się do pracy. Zderzak do wymiany. Lampy także. Wrrrr… Tylko pogratulować.

-Przepraszam, czy to pani samochód?

Co za idiotyczne pytanie.

-Nic pani nie jest? Czy pani mnie słyszy?

Słyszy. Wpatrzona jak w obrazek usiłuje zebrać myśli. Wysoki, dobrze zbudowany, elegancki… w garniturze od Pierre`a Cardina wygląda niczym ósmy cud świata. Bóstwo. Widzi, że jego kocie oczy utkwiły zapatrzone w afro, a malinowe usta krzyczą: „otrząśnij się, kobieto!”

-Tak, oczywiście, słyszę, przepraszam, jestem jeszcze w szoku… niech pan wybaczy moje zachowanie. Spóźnię Się do pracy, po raz kolejny w tym tygodniu, wykorzystałam już wszystkie możliwe usprawiedliwienia, które właśnie dziś okazały się jawą. Czy nie uważa pan że jest to trochę dziwne?

Spojrzał z ironicznym uśmiechem.

-Przychylny los- to przeznaczenie; nieprzychylny- to tylko pech. Może chce pani zadzwonić by odholować ten… samochód?
-A może pan zechce już zadzwonić na policję?
-Hmmm… nie wpadłem na to. Pomyślałem, że możemy załatwić sprawę nieco inaczej.

Nieco inaczej… z ust mężczyzny nie wróży to nic dobrego.

-Nie chcę być niegrzeczna, ale wolałabym mieć to już za sobą. Przyjedzie policja, zamkną mnie i po sprawie.

Co za czarny scenariusz… słowa płynące z jej ust przepełnione były niesamowitą obojętnością.

-Cóż za imponujący optymizm przemawia przez panią – odrzekł z uśmiechem. Tak się właśnie składa, że ja też się spóźnię do pracy, a właściwie to na rozmowę kwalifikacyjną. Uważam jednak, że sytuacja, która mnie dziś spotkała jest nieco bardziej interesująca niż świat biznesu. Zapraszam na kawę- nie może pani odmówić.

Dziwny człowiek. Miał jednak rację. Było jej wszystko jedno.

***

-Mam na imię Artur. A pani?
-Lila.
-Piękne imię. Niespotykane, magiczne…

Tyryfyry… nie ma to jak, stary, kiczowaty chwyt…

-Gdzie pan, to znaczy gdzie miałeś zamiar pracować?
-Teraz to już nie istotne. Redakcja brukowego pisma- to jednak nie dla mnie.

Na te słowa jej twarz pojaśniała. Od początku czuła że coś ich łączy! Nie wiedziała tylko, że to coś to miejsce pracy. Straconej pracy. W tym mieścinie było innej redakcji, ani innego brukowca.

-Nie martw się. Mają wolne miejsca na stanowisku w biurze korekty, przyjmą Cię serdecznie, z otwartymi rękoma.
-Naprawdę? Dlaczego tak uważasz?
-Pracowałam tam. Do dzisiaj.
-Naprawdę, coraz bardziej imponuje mi twój wisielczy humor. A teraz zabieraj kurtkę, wychodzimy.
-Dokąd?
-Nie zapomnij torebki.

***

-Naprawdę nie sądziłam, że po raz setny uda mi się wytłumaczyć z mojego spóźnienia.
-Powinnaś zacząć mocniej wierzyć we własne możliwości – roześmiał się. Przedstawiliśmy sytuację bardzo wiarygodnie. Muszę przyznać, że od samego początku czułem, że wszystko skończy się po mojej myśli. Dzięki temu, że wjechałaś w mój samochód, znalazłem świetną pracę.
-A ja jej nie straciłam.

Po raz pierwszy uśmiechnęła się do niego.

-Musimy to uczcić. Co powiesz na kolację? Jutro, po pracy.
-W sumie… dlaczego nie. Jesteśmy umówieni.

Spojrzeli na siebie badawczym wzrokiem. Zauważyła, że jego oczy znów utkwiły na jej głowie.

-Do twarzy Ci w loczkach. – Uśmiechnął się, po czym pożegnał stalowym uściskiem dłoni.

W ciągu całego dnia trudno było jej ukrywać fakt, że od samego początku wpadł jej w oko. Głęboko w sercu czuła, że też nie jest mu obojętna.
Zmęczona, lecz szczęśliwa jak nigdy dotąd, wróciła do domu. Łyk zimnego, przypalonego mleka, który pozostał na dnie kubka od czasu śniadania, ściągnął ją na ziemię. Położyła się, by przez chwilę zapomnieć o wrażeniach kończącego się dnia.
Niestety. Ilekroć zamknęła oczy, jego obraz pojawiał się natarczywie. Był tak wyrazisty, tak realny, jakby odtwarzała całą sytuację na nowo. Jego wzrok, każde spojrzenie, uśmiech… miał w sobie coś, co odróżniało go od tysiąca innych mężczyzn w francuskich garniturach. Był inny. Jest. I prawdopodobnie będzie.

***

Tym razem nie obudził jej promyk czerwcowego słońca, lecz dźwięk budzika. Wstała z łóżka- nie zwracając już uwagi którą nogą. Pobiegła do łazienki. O dziwo nie czekała aż się zwolni. Spojrzała w lustro. Błyszczące loki wysmuklały jej okrągłą twarz. Niebieskie oczy lśniły zza firanki grubych, kruczoczarnych rzęs. Złote piegi dodawały blasku śniadej cerze.
Z uśmiechem na ustach sięga po kubek ciepłego mleka. Teraz już rozumie, że los pragnie, aby każdy spełnił własną legendę.

I nagroda w kategorii senior – poezja
Gabriel Ojrzanowski „Shadowplay” z Muszyny

Gabriel Ojrzanowski odbiera gratulacje i nagrodę

„Brudne”

Ukradłem dziś ze sklepu, szare spojrzenie sprzedawczyni
Odbijające się bez echa , od pólek ze słodyczami
Stoczyłem się dziś na dno swoich brudnych myśli
Nie mytych od tygodni
Trzech w zmiętej pościeli

Szare słońce już zagr(z)ało, pożegnalną balladę,
A szarość wypełzła kanałami na ulice
I chodniki zdeptane tysiącami
Tysiącami

Znów miałem dzisiaj sny, nader nieprzyzwoite,
Znów śniła mi się ona w spodenkach moich
Ulubionych, które jej podarowałem

Dwudziestego pierwszego dnia sierpnia
w samochodach dzieci w szarych oczach
Podkrążonych patrzą w błękit nieba

I płaczą, płaczą widząc tylko, odcienie szarości,
Szare słońce już dzieci nie kocha
Przeznaczenie czai się za rogiem
Nie słuchaj lepkich przebojów w radio

Zapytaj gdzie oni teraz
Ze swoimi brudnymi myślami

Ukradłem dziś ze sklepu, szare spojrzenie sprzedawczyni
Odbijające się bez echa od półek ze słodyczami
I umrzeć, umrzeć w brudnych myślach
Nie mytych od tygodni trzech

W zmiętej pościeli

„Ocet”

Dziś bawmy się pod podłogą, znalazłem na strychu spalone mrówki
Nie bój się ich oczu, są martwe i puste

Weź z domu rączkę Barbie, tę którą zawsze mieszam
Cukier w kawie by się rozpuścił
Masz rację, słodzę dwie łyżeczki a Ty
Masz znów niewyraźne oczy

Pod podłogę wejdźmy jedynie przez szczelinę mojej dłoni
Ciszej troszkę, mogłabyś przestraszyć szklaną kuleczkę
Tak, tą niebieską ,którą kiedyś
Wybiłem ci z głowy

Chodźmy wreszcie, pozwól oddać się chwili
Taniej prostytutce, sprzedawczyni z kiosku
Papierosami na sztuki, kiełbasą, krzyżówką , tanią kawą
Oblepiona

Załóż ładniejsze oczy, chociażby te które miałaś na sobie w wakacje,
W dzisiejszych się nie odbijam
No chodź wreszcie, no chodź

Zanim octem tym przesiąknę

Za drzwiami.

„Monroe”

Lepię się do Ciebie o pani, dymem papierosów których nie palę.
bo nie zdrowo. bo rak płuc. bo choroby serca.
palacze tytoniu umierają młodo.
lepię się jednak tym dymem, substancją smolistą
do ud pani się kleję ,bo dlaczego by nie?
a pani, pani usta rozchyla i mrucząc, mrucząc pani szepcze do ucha
szepcze mi pani w tym uchu językiem.
ślimaczek.
ślimaczek ten język pani, proszę pani

kradnie pani sny i ściąga majtki jak gdyby nigdy nic
a ja łepek na bok jak potrącony ptaszek, i mnie już nie ma
nie ma proszę pani nic już, nic nie ma
tylko ja i pani, i ten pani papieros którym pani się tak lepi,
palacze tytoniu umierają młodo, proszę pani
żyć szybko umierać młodo, tak
a ja się kleję jak lepka mucha w miodzie
jak rzep psa się czepiam
jak motyl do gówna zaspokoić zmysły, proszę panią
Marylin, Marylin
pod powieką.

II nagroda w kategorii senior – poezja
Ewa Wiśniowska „Wiśnia” z Ubiadu

Ewa Wiśniowska nagrodzona została dwukrotnie

„Na dachu”

Gdybyśmy patrzyli
Bardziej ponad niż pod
Kroczylibyśmy po dachach
Dumni jak koty

Chowali się za kominem wpatrzeni
W o tyle bliższy księżyc zasłuchani
W trzepot skrzydeł

Zawsze jest lepiej spadać z wysokości
Dlatego nie obawiaj się wspinać

Ambitne koty spadają na cztery łapy

Kotom zakochanym
Czasem wyrastają skrzydła

III nagroda w kategorii senior - poezja
Paulina Ciepiela „Aqwa” z Nowego Sącza

„Tak Trudno”

Tak trudno jest dorosnąć
przekłuwać marzenia zardzewiałą igłą
poczuć zimno ołowianych żołnierzyków
zapomnieć o śmierci

Tak trudno jest zdziecinnieć
gonić wiatr w szczerym polu
spać nago pod gwiazdami
wierzyć w anioły

życie to czas przemija
można wyryć w sercu równania reakcji wierząc
ze to chemia
lub udawać kolorowe wiatraki będące uschniętymi
patykami

lecz każde brzmienie zegara
będzie głosiło ze nie staliśmy się
ani dziećmi ani nawet dorosłymi

Wyróżnienie w kategorii senior – poezja
Maria Rola „Majka” z Ptaszkowej

„Confiteor"

Mea culpa
Mea culpa
Mea
Maxima culpa

Że
Nie urodziłam się
Sto lat temu
Lub
Za sto lat od dziś

Moja wina

Że
Nie nauczyłam się
Milczeć
Że
Nie nauczyłam się
Mówić

Moja wina

Że
Nie umiem się
Godzić
Że
Nie umiem się
Kłócić

Moja wina

Że upijam się zapachem bzu
Że odurza mnie jaśmin

Moja wina

Że
Kiedyś umrę
Tak
Dosłownie i znienacka

Moja wina

Moja wina
Moja
Bardzo wielka wina
I
Nie oddam jej
Nikomu

I miejsce w kategorii senior – proza
oraz
Nagroda Prezydenta Miasta
dla najlepszej pracy mieszkańca Nowego Sącza
Ewa Klewar „Muka” z Nowego Sącza

„Sukienki”

Paliła te swoje mentole jeden za drugim, a każdy tak łapczywie jakby miał być ostatnim. Gdyby pewnego dnia ktoś powiedział mi, że umarła, nawet bym się nie zdziwił. Nie sądzę, by pamiętała jeszcze zapach świeżego powietrza.

Zawsze ją obserwowałem. Tak, muszę przyznać, że kiedy tylko nadarzała się okazja, dawałem upust dziecięcym marzeniom o przygodzie i przeistaczałem się w szpiega. Prawdziwego, z nieprzeniknioną twarzą, nie zwracającego niczyjej uwagi, poruszającego się niczym cień. Z dumą obserwowałem własny spryt, choć w duchu wiedziałem, że obiekt moich obserwacji do zbyt spostrzegawczych nie należy, co niestety umniejszało moje zasługi. Ona nie była głupia, broń Boże, choć mogło to tak zabrzmieć. Po prostu nie zajmowało jej to, co nieistotne. Ja nie byłem ważny, a i biała chmura wokół jej głowy zapewniała pewne ograniczenia widoczności. Do twarzy jej było z tą cienką przesłoną, wyglądała jeszcze bardziej tajemniczo i prawie nieobecnie.

Chwilami zdawało mi się, że właśnie po to pali- by nie widzieć, zasłonić choć trochę to wszystko, co z wielką wrzawą działo się dookoła, a niewiele z tego wynikało. Jakby postanowiła się ukryć, zasłonić przed tym, co wcale jej nie interesowało. Podziwiałem, jak naturalna była w tej ucieczce, bez wielkich gestów i spojrzeń z wyższością. Właściwie nie różniła się od innych, a jednak zawsze trochę z boku, bez narażania się na spotkanie z naszym miastem.

Bo nasze miasto było nudne. Zawsze jak o nim myślałem, myśli te przybierały szare barwy. Do końca nie wiem dlaczego tak się działo, widywałem przecież wielu, którzy zdawali się być zadowoleni. Jednak zawsze, kiedy usiłowałem się nad nimi zastanowić, stawali się w mojej głowie tak samo szarzy jak reszta i kompletnie traciłem na to ochotę. Ona jedna nie była szara, wręcz nie potrafiłem jej sobie tak wyobrazić. Ona jedna miała sukienki pełne barw, a jej oczy nie traciły nigdy zieloności. Zauważyłem to już za pierwszym razem, kiedy się na nią natknąłem. Wydawało mi się wtedy, że na mnie patrzy, ale teraz wiem, że wcale tak nie było. Może się to wydać próbą oszukania samego siebie, ale naprawdę mi to nie przeszkadzało. Lubiłem odrywać się od tej szarości, tylko na nią patrząc. Wtedy czułem się, jakby i mi udało się usunąć w cień i byliśmy tak we dwójkę, ukryci, bez zbędnych słów i spojrzeń. Piliśmy razem kawę przy osobnych stolikach.

Myślałem też, że jej przeciwsłoneczne okulary, z którymi się nie rozstawała, są absolutnie niezwyczajne. Byłbym gotów założyć się, że widać przez nie jakieś inne miasto, z równymi chodnikami, ze zwisającymi z balkonów kwiatami, z pachnącymi autobusami i małymi czarodziejskimi sklepikami, w których było wszystko o co poprosi, na czele z cienkimi mentolami. Jakoś ciężko było mi wyobrazić ją sobie w supermarkecie, pchającą ten ogromny wózek w poszukiwaniu przecenionych mrożonek. Bardzo chciałem znaleźć się w tym świecie z ciemnych okularów, gdzie było wystarczająco przestrzeni na każdy spontaniczny ruch, poczta nie rozwoziła upomnień o niespłaconych ratach za płaskie telewizory, ani pozdrowień z wakacji, pees jest cudownie. Można było tańczyć na tych równych chodnikach i nawet jakby się chciało, nie dałoby się potknąć. Wszystko było dozwolone, bo nikt się tym nie zajmował. To miasto codziennie pachniało letnimi naiwnymi wieczorami i wspaniale było pomyśleć, że choć przez chwilę tam jestem.

Więc włóczyłem się za nią, po swoich krzywych brukowych kostkach i podziwiałem. Pewnie miałbym wzrok pełen uwielbienia, gdyby nie moje szpiegowskie zasady, oczywiście. Tak naprawdę, to nic o niej nie wiedziałem. Nie miałem pojęcia jak się nazywa, nigdy nie próbowałem pójść za nią pod jej dom. Przecież wiedziałem, że pochodzi stamtąd, zza granicy ciemnych szkieł, a bardzo bałem się zobaczyć jak znika. Nie chciałem obserwować jak zatrzymuje się pod bramą którejś ze starych kamienic na skraju miasta. Pomyśleć, że może to jednak tu, by zaraz potem zobaczyć jak rozpływa się w powietrzu i ostatniej wypuszczonej z ust chmurze papierosowego dymu. Wydaje mi się, że nie byłem gotowy, by przy tym być. Na pewno nie mógłbym potem zasnąć, z obawy że nie wróci. Tak to

już z nami jest, kiedy wiemy, że coś się dzieje- to w porządku. Jeśli widzimy- to panika. Gromadziłem więc sobie tylko małe fakty: że ma niezliczone ilości sukienek, że maluje paznokcie na zmianę dwoma odcieniami czerwieni, że kiedy się zamyśla nad czymś bardzo dla niej istotnym, prawie całą twarz zatapia we włosach. Że jak z kimś rozmawia, to robi to całą sobą, wymachuje rękami i w najmniej oczekiwanych momentach wybucha śmiechem, tak prawdziwym, że na pewno przyniosła go ze sobą z tamtego miasta.

Niczym nałogowiec, codziennie musiałem ją zobaczyć. A nocami śniły mi się sukienki. Tańczyły po ulicach i śmiały się z mojego zdziwienia.

II nagroda w kategorii senior - proza
Ewa Łączkowska „Eldrianne" z Nowego Sącza

Nagrodzona Ewa Łączkowska

„Trzecie wyjście"

Drrrryń, drrrrryń!, rozdzwonił się wesoło budzik, niczym fanatyczny misjonarz gorliwie wzywający do powrotu do rzeczywistości. Punkt szósta.
Tak jakby było się z czego cieszyć.
Nie otwierając oczu jak co dzień sięgam na szafkę i rzucam misjonarzem o najbliższą ścianę, momentalnie kończąc jego wielkie dzieło w wyjątkowo hałaśliwy sposób, po czym w pokoju znów zapada błoga cisza.
Błogą ciszą pozostaje przez dokładnie dwie minuty, potem zaczynam liczyć.
Nigdy nie dochodzę dalej niż do dziesięciu; cisza staje się nie do wytrzymania, niczym natrętny owad obijający się o szybę; swoją niemą kakofonią wypala mi pomału dziurę w głowie, przez uszy do mózgu. Wyimaginowany swąd palonej tkanki nie pozwala mi dłużej leżeć. Gwałtownym ruchem odrzucam kołdrę i siadam na łóżku.
Lewa noga, prawa noga… Zakładam okulary i otwieram oczy; dokładnie tak, nigdy na odwrót … za bardzo przeraża mnie to okropne uczucie nic niewidzenia.

(W dzieciństwie długo ukrywałem wadę wzroku. Matka nawet posądzała mnie o chorobę psychiczną, bo bałem się rozmawiać z ludźmi i nigdy nie patrzyłem w lustro. Jak mógłbym, skoro nikt, łącznie ze mną nie miał twarzy? To było prawie tak przerażające jak wizja hasła „okularnik" przyczepionego do mnie już na zawsze… Ale w końcu pękłem. Ojciec przyłapał mnie na czytaniu książek w odległości pięciu milimetrów od nosa. Zostałem więc czterookim i tak, dodając sobie do tego traumatyczne dzieciństwo.
Zawsze z dwóch wyjść potrafiłem zrobić sobie trzecie, jeszcze gorsze.)

Chwilę trzęsę się z zimna siedząc na łóżku (swoisty codzienny rytuał), po czym powoli wstaję. Jak co rano podnoszę z ziemi roztrzaskany budzik (zawsze rozpada się na pięć części, zawsze…) i składam go do kupy, nastawiając machinalnie na szóstą. Wychodzę na balkon i zapalam papierosa, delektując się panoramą szarego miejskiego poranka.
W tych jedynych przyjemnych chwilach dnia mam sadystyczny zwyczaj wyobrażania sobie, że krztuszące się smogiem miasto to wizualizacja moich płuc po 20 latach wypalania dwóch paczek

papierosów dziennie; jednak dzisiaj wizja ta wprawiła mnie w wyjątkowo dobry nastrój. Niebo wypogadzało się, na horyzoncie rysowały się nawet zwykle niewidoczne góry.

(Góry… Chyba najwspanialsze wspomnienia z lat licealnych. Pięć dni jesiennej idylli tylko we dwoje, ja i Anna, jedyna miłość mojego życia… Pamiętam, namawiałem ją na tą wyprawę przez dwa tygodnie. Spaliśmy gdzie popadło, włócząc się pomiędzy chmurnymi szczytami. Ona codziennie robiła mi jajecznicę nad polowym ogniskiem, a ja przyrządzałem jej „jesienną kawę z szczyptą miłości", jak zwykłem mówić. Ach, kiedy to było… Byliśmy tacy młodzi. Popełniłem wtedy błąd, gdybym mógł przeżyć to jeszcze raz, nigdy nie porzuciłbym jej tak, jak wtedy…)

Papieros zwykle kończy się koło szóstej piętnaście. Wracam do kuchni i robię sobie kawę, którą wypijam duszkiem, tylko trochę krzywiąc się z obrzydzenia. Biorę czysty talerz (to już ostatni, trzeba będzie wciąć się za zmywanie) i przygotowuję kanapki. Szybko zerkam na kalendarz. Dwudziesty ósmy października, środa… Czyli na śniadanie szynka a do pracy ser żółty z dżemem. A może z pomidorem? Niepewność rozdrażnia mnie; w końcu z braku pomidora robię jednak z dżemem.
Bo czy to ma jakiekolwiek znaczenie…?

(Kiedyś nieważne było, co się je, tylko z kim. Śniadanie z Anną sprawiało przyjemność nawet, kiedy na nas dwoje zostawała nam ostatnia kromka chleba i jedna cebula. Mówiłem wtedy, żeby jadła, ile chce, bo ja mogę żyć wyłącznie jej uśmiechem.
Rzeczywiście wtedy mogłem.)

Po śniadaniu włączam telewizor. To tylko pięć, czasem dziesięć minut, ale pozwala się uspokoić, przestać myśleć o czymkolwiek. Na ostatniej reklamie otwieram szafę i ubieram się: na najwyższej półce bielizna, obok podkoszulki; spodnie leżą na podłodze, tak jak je rzuciłem wczoraj. Ostatnie zerknięcie w lustro i mogę wychodzić; mam dokładnie piętnaście minut na dojście do pracy.

Po drodze zahaczam o kiosk i piekarnię (nigdy nie potrafię się oprzeć zapachowi świeżych bułeczek). Kiedy w końcu dochodzę do budynku redakcji jest pięć po wpół do ósmej. Idealnie. Kolejne dwadzieścia pięć minut pozostałe do rozpoczęcia godzin pracy poświęcam na ułożenie papierów w odpowiedniej kolejności (zawsze od najstarszych; teksty z kolorowymi nagłówkami na wierzch). Druga kawa i można zaczynać.

A raczej można by było, bo dziś na tekstach z kolorowymi nagłówkami nagle pojawiają się dwie czerwone ręce szefa.
(środa, więc paznokcie są czyste.)
- Tomku, mogę cię prosić na słówko?
Głos, wybijający z przyjemnej rutyny nagłówków, irytuje. Odruchowo sięgam po kubek z kawą i zniecierpliwionym krokiem podążam za nim.
Kiedy drzwi za mną zamykają się, ton z przyjacielskiego mentorstwa od razu zmienia się w orędzie prezydenckie i głos rozpoczyna tyradę.
- Nie wiem, co się z tobą dzieje, Wasowski. To już trzeci tekst, napisany przez ciebie, który nadaje się tylko i wyłącznie do śmieci. Weź sobie urlop, znajdź kobietę i zbierz do kupy, bo to nie jest redakcja dla życiowych nieudaczników. Co ja z wami mam, ludzie…
Decyzja, choć nierutynowa, była natychmiastowa.
- Odchodzę.
- Co?
- Odchodzę.
Nawet się nie przejął.

(Nawet nie przejął, a kiedyś mówił, że jestem jego najlepszym redaktorem. To był czas uścisków dłoni i klepania po plecach. Okres, kiedy karierę wyobrażałem sobie jako kobietę o najwspanialszych kształtach, zdolną zaspokoić każdą moją fantazję. Myślę, że wtedy właśnie zdążyłem zapomnieć o goryczy rozstania z Anną. Kariera była od niej doskonalsza.
Szkoda tylko, że ją sobie uroiłem.)

- To miło z twojej strony, że oszczędzasz mi borykania się z twoimi odchyleniami psychicznymi, Wasowski. Idź w cholerę, i nie próbuj mi tu wracać, kiedy skończyć się dąsać, bo miejsca i tak nie będzie.
- Do widzenia.
(To miło z twojej strony, że po raz ostatni oglądam twoje czerwone łapska, palancie.)
- Żegnam.

(Właściwie nigdy nie miałem być dziennikarzem; chciałem być poetą. Tak, stworzono mnie do wyższych celów niż marne artykuliki na poślednie tematy; byłbym drugim Słowackim, gdyby nie głupia fantazja o karierze. Gdyby nie rozstanie z Anną. Ach, tak bardzo chciałbym ją teraz spotkać… Nie wahałbym się już więcej, tylko z miejsca oświadczył. Pojechalibyśmy znów w góry, a ja wreszcie zostałbym Słowackim…)

Dziwnie czułem się, wychodząc z budynku o tak wczesnej porze. Zatrzymałem się, oślepiony porannym słońcem i nagle postanowiłem zrobić coś nierutynowego.
(ha, nawet nie pamiętam, kiedy ostatni raz coś takiego robiłem…)
Dłuższą chwilę stałem na schodach, usilnie starając się wymyślić coś oryginalnego, ale nie udało mi się. Z braku innej możliwości skierowałem kroki do parku, leżącego naprzeciwko redakcji.

(… byłbym Słowackim, a Ona moją muzą. Moje pierwsze wiersze (na pewno o miłości) powstałyby w górach i przeznaczone byłyby tylko dla Niej, jednak ona zdecydowałaby się pokazać je światu, oczywiście w tajemnicy przede mną – w tęsknocie za choć odrobiną uznania od ludzi dla mojego niedocenianego geniuszu... Zostałbym odkryty przez świat, i nawet palant z czerwonymi dłońmi musiałby uznać moją wielkość.)

Park był pełen dzieciaków, biegających dookoła fontanny, oraz ich matek, grzecznie siedzących na ławeczkach. Miałem ochotę zrobić coś, żeby zmusić stadko statecznych matron do wstania. Chciałem zobaczyć, jak z kolei one biegają dookoła fontanny, ale nie mogłem wymyślić nic konstruktywnego. Usiadłem więc na jednej z wolnych jeszcze ławek i wyciągnąłem bułkę, kupioną w piekarni. Zjadłem, z zainteresowaniem przyglądając się, jak dwóch brzdąców próbuje nakłonić może pięcioletnią dziewczynkę do wykąpania się w fontannie.

(Sława… Pojawiłyby się nowe możliwości – wydanie tomiku, może dwóch; udział w dyskusjach na skalę międzynarodową i zaproszenia na wernisaże. Ale nie, ja bym tego wszystkiego nie chciał. Zrezygnowałbym ze sławy –dla Niej, dla mojej muzy. Zbudowalibyśmy mały domek w którejś z zacisznych dolinek i mieszkalibyśmy tam do końca.)

Powoli zbliżało się południe; z westchnieniem wyciągnąłem z torby rano przygotowaną kanapkę i jak zwykle wyrzuciłem ją do kosza. Ten moment rutyny napełnił mnie rozleniwieniem; chcąc być konsekwentnym w niecodzienności (zawsze jestem konsekwentny, skarpetki piorę raz w tygodniu) postanowiłem uciąć sobie drzemkę.

(Nigdy wcześniej nie spałem na ławce w parku. To było tabu; na ławkach sypiali tylko bezdomni i pijacy; porządni ludzie spali w tramwajach, w biurach i w poczekalniach, ale nigdy w parku. Park stawał się piętnem; potem w każdej eleganckiej restauracji mogli ci wypomnieć: „sypiałeś na gazecie, włóczęgo”. Bałem się tego jak diabli, bałem się, że kiedy to zrobię, zawsze będą mieli pretekst, żeby mnie wyrzucić…
W gruncie rzeczy jednak nigdy nie byłem w eleganckiej restauracji.)

Obudziłem się, kiedy słońce już chyliło się ku zachodowi. Matki z dziećmi gdzieś zniknęły, park opustoszał, nareszcie sprawiając prawie miłe wrażenie. Wstałem i przeciągnąłem się z niemiłym odczuciem zmarnowania kilku godzin.
(Nie, nie zmarnowanych; spędzonych w niecodzienny sposób, pamiętaj; po prostu w niecodzienny sposób, powtarzałem sobie. Będziesz musiał do tego przywyknąć.)
Z braku innego pomysłu ruszyłem w stronę domu. Pomimo stosunkowo niekorzystnych wydarzeń dzisiejszego dnia, byłem zadowolony.

(Więc jeszcze umiem wyrwać się z rutyny…)

I wtedy Ją zobaczyłem.
Szła z naprzeciwka, wciąż tym samym od lat krokiem, nie patrząc przed siebie. Włosy, dużo dłuższe niż kiedyś, opadały jej na plecy, lśniąc w ostatnich promieniach słońca.
(I wciąż nosi zielone płaszcze…)
Zatrzymałem się.
- Cześć, Anno.
Odwróciła głowę i zauważyła mnie, a ruch ten rozbijał się w mojej głowie z milisekund w minuty, godziny… Wieczność.
- Tomek? Ja… To znaczy… Cześć. – znajomym ruchem nerwowo poprawiła włosy. Nie patrzyła na mnie, jakby przestraszona widmem przeszłości, stojącym przed nią niczym najzwyklejsze codzienne zjawisko.

Ta chwila była jak ze snu, jak z kretyńskiej komedii romantycznej, gdzie znudzony aktorzyna-Książę z Bajki w setnym ujęciu tej samej sceny spotyka znów po raz pierwszy swoją Księżniczkę. Tyle, że ja byłem kompletnym amatorem bez scenariusza i doświadczenia; do tego kompletnym idiotą. Chwilę wcześniej czas zwolnił, prawie zatrzymał się; teraz z fanatyczną gorliwością przyśpieszał, jakby chcąc nadrobić straty, a do mojej pustej łepetyny, która przecież tyle razy wyobrażała sobie tą jedyną scenę spotkania po latach nie przychodziło nawet pół pomysłu na to, jak zacząć. Jak jej to powiedzieć.
(„To”. Jakim cudem tak krótkie słowo może zmieścić w sobie wszystko, co jest w moim życiu cokolwiek warte?)
- Widzisz, ja…
(Powiedz coś, kretynie, powiedz!)
Pękłem. Zawsze z dwóch wyjść potrafiłem zrobić trzecie, jeszcze gorsze.
- Muszę już iść, może jeszcze kiedyś się spotkamy. – wyrecytowałem z prędkością karabinu maszynowego, odwróciłem się i prawie biegiem ruszyłem w przeciwną stronę.
(Idiota.)

(Idiota!)

***

Wróciłem do domu jak zwykle, po dwudziestej. Jak co dzień włączyłem telewizor; pochodzi z dwie godziny i można zgasić go ze spokojnym sumieniem. Szybki prysznic, zęby i piętnaście przysiadów na dobranoc (lekarz nakazał, dla zdrowia). Jak zwykle nastawiam radio na program trzeci (żeby zagłuszyć tą nieznośną ciszę…) i kładę się spać.

Z tą różnicą, że tym razem budzik rozwalam już wieczorem.

III nagroda w kategorii senior – proza
Ewa Wiśniowska „Wiśnia” z Ubiadu

„Sen”

Rowerek zepsuł się trochę przy upadku. Zdawało się jakby wyblakł. Taki martwy na asfalcie, stracił cały swój blask, którym bił zza witryny sklepowej. Smutne to było wszystko. No i te małe rączki, krwią paprające rowerek. Martwy mały chłopiec czynił ów obraz jeszcze bardziej tragicznym. Nikt nie nadchodził, choć czekałem długo. Czar chwili nie mijał, więc wpatrywałem się dalej. Nadszedł wieczór, zorientowałem się, bo rząd latarni zapłoną jasnym światłem. Chłopiec ciągle się nie poruszał. Podszedłem bliżej. Byłby szczęśliwy gdyby wiedział, że wciąż przy nim czuwam. Ale dobrze że nie wie, dobrze że śpi spokojnie. Żywy - sam musiałby zanieść pokrzywiony rowerek do

domu, a głęboka rana w głowie doskwierałaby mu pewno okropnie. Położyłem się przy nim. Peruka i kapelusz zsunęły się w kałużę krwi. Szkoda że nie mógł widzieć dzisiaj nieba…

Zawsze chciałem mieć syna. Gdybym go miał, leżałbym tak właśnie, jak z tym małym chłopcem, w ciszy, wpatrując się w gwiazdy. Nigdy nie byłem jeszcze tak szczęśliwy. Namalowany uśmiech pokrył się z prawdziwym. Po raz pierwszy czułem się potrzebny.

Ciekawe jak to się stało?

Miałem tylko jedną wizję. Pewno sturlał się tutaj z obłoków, specjalnie dla mnie. Upadek z wysokości pokrzyżował mu plany, ale i tak czekał na mnie w umówionym miejscu. Będziemy mieli nie mało zabawy z naprawą rowerka…

Świtało już, dlatego postanowiłem schować go w bezpiecznym miejscu. Pokrzywione koła z trudem radziły sobie z odległością. Szczęście, że dom mój stał po drugiej stronie. Chłopca wziąłem na ręce, omal nie zatańczyliśmy - tak sprzyjało nam wspólne towarzystwo.

Pomyślicie pewnie że jestem psychopatą. Być może… Faktycznie, obraz klauna leżącego obok martwego chłopca, w nocy, na twardym asfalcie, nie należy do codziennych. Ale przyznam się szczerze: nie spodziewałem się takiej sytuacji.

Wiecie, z natury i z zawodu jestem klaunem, niektórzy to pojęcie mylą z czubkiem, ale osobiście myślę że mam więcej rozumu niż nie jeden nie-klaun. Wiecie? Tak. Moje życie jest zupełnie nie skomplikowane, właściwie na mój żywot składa się codzienne wykonanie idealnego makijażu, i parę wyćwiczonych gestów, ruchów i dźwięków. Jem, śpię, jak większość. Czasami śpiewam - to wszystko. Żyję z emerytury. Jak tu nie znienormalnieć w tak do szpiku kości normalnych warunkach?

Mimo emerytury nigdy nie zrezygnowałem z bycia klaunem. W obawie przed samotnością, wciąż trwałem w skórze tego poczciwego stworzenia, żyjąc ku uciesze innych, nie dla siebie. No i nagle spotkałem tego chłopca. Doprawdy, czy mogłem spodziewać się takiej sytuacji?

Położyłem go na swoim łóżku, to dziwne, bo jeszcze nikt prócz mnie na nim nie leżał. Wzruszyłem się. A potem znowu pomyślałem jakie to wszystko smutne. Jakie to smutne, że ten chłopiec nie żyje. I poczułem nieodpartą chęć zaśpiewania mu kołysanki, dzięki Bogu przypomniałem sobie wtedy o pozytywce. I nie dlatego że miała ona jakieś szczególne znaczenie, ale dlatego że to jej melodia usypiała mnie kiedy nie miał mi kto zaśpiewać w dzieciństwie. Tylko jak ją teraz odnaleźć? Dom stał właściwie pusty, i poza wyposażeniem kuchni tylko w sypialni stały jeszcze trzy zakurzone pudła. Na wierzchu jednego z nich błyszczały wielkie porcelanowe oczka dziewczynki z pozytywki. Nakręciłem ją z tyłu kluczykiem. Jakby spod stóp małej laleczki, poczęła płynąć ku mnie zapomniana melodia. Chłopiec poruszył się delikatnie. Później podniósł się z łóżka. Jestem przekonany, że nie słyszał melodii. W każdym bądź razie wcale z nią nie współgrał. Stanął wpatrzony we mnie z szeroko otwartymi oczami, po czym odezwał się:

- Czy ja, umarłem? Jestem w niebie?

Właściwie zdziwiłem się że mnie nie poznał, że zapomniał, że przybył aby nadać nowy sens mojemu życiu. Zdziwiłem się też trochę, że zmartwychwstał.

- Tak jesteś w niebie. I ja także w nim jestem. –bo skoro wreszcie byłem szczęśliwy, to musiało być niebo, a skoro byłem tam ja, to i on musiał tam teraz ze mną być.

- Czy ty jesteś…eee…panem Bogiem?

-Ja? Nie… To Ty nim jesteś!

-Ale jak to?

-A tak! Od dzisiaj jesteś panem Bogiem i w granicach naszego nieba spełnię wszystkie twoje zachcianki!

- Naprawiłbyś zatem mój nowy żółciutki rowerek?

- Ależ oczywiście! Nie przystoi aby Bóg chadzał pieszo!

- Ale, ale gdzie on teraz jest?

Wyciągnąłem do niego rękę, a ten ochoczo uścisnął ją w swoich maleńkich rączkach. Nie wiem jak to jest, ale klauni zazwyczaj budzą zaufanie. Sami na pewno znacie takich ludzi, być może nie identyfikujecie ich z klaunami, ale nie każdy musi nosić perukę czy nos na gumce. Niektórzy po prostu są równie nie rozsądnie poczciwi. Klauna poznać po tym, że nawet kiedy płacze nie przestaje się uśmiechać, a tak to już jest że człowiek pogodny i sympatyczny zazwyczaj wzbudza zaufanie.

-Twój rowerek stoi tam, pod ścianą

Chłopiec podbiegł do niego żywo i równie żywo się rozpłakał. Wiedziałem że będzie nieszczęśliwy bo rowerek wyglądał tragicznie. A przecież mógł spać spokojnie… Dziwna ta kołysanka, która zamiast usypiać, na powrót pobudziła go do życia.
- Naprawię go – powiedziałem – ale tymczasem, co zjesz na śniadanie?
- Na co Bóg miałby ochotę?
-Myślę że na jajecznicę.
-Zjadłbym jajecznicę.
Wziąłem go na ręce i posadziłem na stole w kuchni, po czym zabrałem się do przedstawienia. Dawno nie grywałem w cyrku mimo że nie rozstawałem się ze swoim przebraniem ani na chwilę. Pomyślałem że niebo jest odpowiednim miejscem do tego aby wystąpić przed publicznością ponownie. Jajka rozbijały się po całej kuchni, a chłopiec śmiał się rzeczywiście jak młody Bóg, klaskając raz po raz w dłonie. Uciesze nie było by końca, gdyby wreszcie w efekcie mojego „tańca z jajkami" nie udało się poczuć przyjemnego zapachu jajecznicy. Sam zgłodniałem. Nakryłem zatem dla nas obu. Przyjemnie było tak milczeć smakując jajecznicy i patrzeć się w maleńkiego Boga. Ogromnie zafascynowany był posiłkiem, musiał być głodny, w końcu podróż zza światów to nie lada wysiłek. Wstałem od stołu. To była dobra pora aby naprawić rowerek. Wyszedłem zatem do pokoju obok. I właściwie klauna nie jest w stanie nic zdziwić, dlatego też nie zdziwiło mnie, że rowerek stał już naprawiony. Całkiem jak nowy błyszczał w kącie pokoju.
- Dziękuję! – poczułem jak w pasie objęły mnie małe, ciepłe łapki.
-To nie mnie powinieneś dziękować.
- Jak to? Ktoś tu jeszcze mieszka? Kto naprawił mój rowerek?
Wskazałem na łóżko gdzie stała maleńka pozytywka.
- To ona – porcelanowe dziewczątko tańczyło w kółko w takt melodii.
-Ona jest bardzo ładna. Chciałbym żeby była moją żoną.
-Bóg nie ma żony.
- Dobrze, zatem chciałbym żeby była twoją żoną, właściwie mnie wystarczy rowerek.
-Klaun także nie ma żony – zacząłem i na raz przerwało mi donośne pukanie w drzwi.
-Ktoś puka.
Przestraszyłem się. Oczywiście jak na klauna przystało nie dałem nic po sobie poznać, ale obawiałem się. Kto mógłby niepokoić mnie w niebie? Postanowiłem jednak otworzyć… W drzwiach stała dziwnie znajoma kobieta.
- Jesteście gotowi?
- Zaczekaj, zabiorę tylko swój rowerek.
- Gdzie pani nas zabiera? – zapytałem zdziwiony.
- To nie ja, to on – wskazała na chłopca. Ten uśmiechnął się tylko promiennie. Pomyślałem że całe szczęście, że zmartwychwstał, tylko kim była ta kobieta?

Wyszliśmy na ulicę. Zdążyło się już ściemnić, ale nie na tyle by nie dostrzec cienia po drugiej stronie. Na asfalcie obok małego rowerka leżał martwy chłopiec. Obróciłem się w obawie że mój mały Bóg zniknie. Zniknął, ale w drzwiach nadal stała znajoma kobieta. Stałem się elementem jakiegoś przedstawienia, nie zamierzałem zatem zadawać zbędnych pytań. Nogi same poniosły mnie w stronę chłopca, ległem wtulony w jego pierś zupełnie jak poprzednio. Przed sobą widziałem cień sunącej ku nam kobiety, za mną słyszałem kojącą melodię. Spać, spać, spać. Spać doskonale. Spać. Być pustką. Melodia stawała się coraz wyraźniejsza. Spać, spać, spać. Doskonale spać. Być wiecznością.

Wyróżnienie w kategorii senior – proza
Daniel Grabowski „Baltazar997" z Muszyny

„Radio Pani Clarks"

Był piątek. Marta jak zwykle wstała o 9:29. Założyła swój ulubiony szlafrok oraz seledynowe bamboszki i poszła do kuchni. Nalała wody do czajnika, po czym postawiła go

na kuchence. Dobrze wiedziała, że za 9 i $^{3}/_{4}$ minuty woda zacznie wrzeć. Wyciągnęła patelnię i wrzuciła na nią łyżkę masła. Następnie położyła ją obok czajnika, który za 8 i $^{1}/_{2}$ minuty miał zagwizdać oznajmując wrzenie wody. Sięgnęła do lodówki i wyciągnęła z niej
3 jajka. Rozbiła skorupki, a jajka zaskwierczały na patelni. Pomieszała je drewnianą łopatką, kolejno dodając bazylię, oregano i zioła prowansalskie. Gdy żółtko było już dobrze ścięte, przełożyła żółtą papkę na talerz. Wyciągnęła dietetyczne, pełnoziarniste pieczywo i położyła na talerzu 2 prostokątne kawałki. W tej chwili rozległ się głośny gwizd czajnika. Marta wyłączyła palnik i sięgnęła po kubek, do którego wsypała 2 i $^{2}/_{8}$ łyżeczki fusiastej kawy,
po czym zalała ją wodą. Usiadła przy stoliku. W momencie, w którym miała już podnieść widelec i zatopić go w jajecznicy, przypomniała sobie, że nie posłodziła kawy i nie dolała
do niej mleka. Szybko chwyciła masywną, srebrną cukiernicę i dokładnie odmierzając 2 i $^{2}/_{3}$ łyżeczki trzcinowego cukru, wsypała je do kubka. Otworzyła lodówkę i wyciągnęła karton
2,5 % mleka. Podniosła plastikowe wieczko i dolała trochę do kawy, która w mgnieniu oka zmieniła kolor. Całość zamieszała 4 razy w lewo i 6 razy w prawo, jak to miała w zwyczaju,
i zadowolona z powrotem usiadła przy stoliku. Dumna z siebie zaczęła konsumpcję. Gdy skończyła, włożyła naczynia do zmywarki i poszła do łazienki. Odkręciła kurek z ciepłą wodą i korkiem zamknęła odpływ wody z wanny. Zasłoniła roletkę i zaświeciła światło. Wiedziała bowiem, że sąsiad z naprzeciwka podgląda ją przez lornetkę. Rozwiązała pas szlafroka,
który delikatnie zsunął się, obnażając jej piękne, kobiece ciało. Wysunęła stopy
z seledynowych bamboszy i weszła do wanny zanurzając się w ciepłej wodzie. Po skończonej kąpieli osuszyła się ręcznikiem i z powrotem założyła szlafrok i bambosze. Stanęła przed wielkim lustrem. Chwyciła suszarkę i rozczesując swoje kruczoczarne włosy suszyła je strumieniem ciepłego powietrza. Po skończeniu zabiegów z włosami wzięła do rąk szczoteczkę do zębów. Wycisnęła na nią biały pasek pasty. Szorowała zęby przez równe
4 minuty, po czym wypłukała usta zimną wodą. Wyszła z łazienki i skierowała się w stronę garderoby. Po przybyciu na miejsce założyła swoją ulubioną czarną bieliznę, pomarańczowy T-shirt, czarne rurki oraz trochę naciągnięty czarny golf. Zeszła po schodach i schowała swój ulubiony aparat do czarnej torby. Zabrała również kilka obiektywów i zapas odpowiednich filmów, po czym wyszła z domu nieświadoma tego, co nastąpi.

Marta była fotografem. Godzinami przemierzała różne zakątki swojej mieściny
w poszukiwaniu piękna. Szła teraz wzdłuż New Street. Gdy mijała zgniłozielony dom
z numerem 21, drogę przebiegł jej mały, czarny kot. Był to jeden z 13 czarnych kotów,
które mieszkały w tym domu wraz ze swoją starą, pokręconą właścicielką – panią Clarks. Staruszka ta po śmierci męża prawie w ogóle nie wychodziła z domu, a wokół jej osoby krążyły już legendy. Wszystkie dzieci z New Street straszone były panią Clarks, gdy nie chciały spożywać posiłków przygotowanych przez swoje mamusie. Marta miała słabość
do kotów, więc pobiegła za czarnym zwierzątkiem w nadziei, że zrobi kilka ciekawych ujęć. Kot skręcił w wąską alejkę, która prowadziła do lasu.
- Sesja w lesie? Hmm… Czemu nie? – Pomyślała.
Lecz nagle, przy końcu ścieżki, futrzak odbił w stronę rozlatującej się szopy. Dziewczyna bała się tej rudery. Zawsze, gdy przechodziła obok, wydawało jej się, że ktoś lub coś na nią patrzy. Tym razem, zajęta pogonią za kotem, nawet nie zauważyła, kiedy nacisnęła starą, zardzewiałą klamkę i znalazła się w środku. Rozejrzała się dookoła. Na podłodze leżały rozbite butelki po wódce i połamane krzesła. Pod oknem stał mały, zakurzony stolik,
na którym znajdowały się brudne, zapyziałe szklanki, pomiędzy którymi rozrzucone były karty. W kącie stał suchy, bukowy pień z wbitą siekierą. To tutaj stary Sparks jeszcze za życia mordował kury i kaczki, o czym świadczyło walające się wokół pnia pierze. U sufitu,
na drutach, wisiały szczątki rozbitej żarówki.
- Nie taki diabeł straszny, jak go malują. – Pomyślała Marta, po czym wyciągnęła aparat,
by zrobić parę zdjęć kota, który właśnie usiadł pomiędzy szklankami na stoliku.
Po kilkukrotnym naciśnięciu spustu migawki dziewczyna postanowiła, że wróci tu wieczorem. Wyszła z szopy i udała się w stronę zakładu fotograficznego Marka, by podzielić się z nim swoim odkryciem. Zakład znajdował się przy Montana Road. Marek był przyjacielem Marty. Po cichu kochał się w niej. Ale nigdy nie miał wystarczająco dużo odwagi, by jej to powiedzieć. Gdy zobaczył przez okno

zbliżającą się ukochaną, wybiegł
na chodnik, żeby się przywitać, po czym zaprosił ją do środka.
- Kawa czy herbata? - Zapytał.
- Herbata – Odpowiedziała.
- Eh, jak zawsze… - Westchnął.
- Jak zawsze. – Z uśmiechem przytaknęła.

Marta opowiedziała mu o wszystkim, co ją dziś spotkało. Słuchał uważnie i w skupieniu. Dziewczyna powiedziała o zamiarze robienia nocnych zdjęć.
- Nie boisz się? – Zapytał Marek.
- Trochę… Ale przecież już tam byłam… Co może się stać?
- Nie wiem… Mam złe przeczucia… - Powiedział z zawahaniem.
- Panikujesz. – Ucięła Marta. – Idziesz ze mną?
- Z chęcią bym poszedł, ale mam dużo roboty. Muszę wywołać zdjęcia z ostatniego ślubu. Wesley'owie zaczynają się niecierpliwić.
- No cóż… Pójdę sama… - Po czym pożegnała się i wyszła.

Było już po 21:00, gdy dziewczyna ponownie nacisnęła starą klamkę i znalazła się w środku starej szopy, której wnętrze wyglądało teraz zupełnie inaczej. Bardziej mrocznie i tajemniczo. Pomieszczenie oświetlone było blaskiem księżyca, który z trudem przedzierał się przez brudne szyby. Marta zabrała się do fotografowania. Nagle na ścianie zobaczyła dziwnie wyglądający cień. Zrobiła mu kilka zdjęć. Co najdziwniejsze, cień co chwilę zmieniał swój wygląd. Stawał się teraz coraz jaśniejszy, aż w końcu Marta, w wizjerze aparatu, zobaczyła stojącą przed nią białą postać. Odruchowo zrobiła zdjęcie, po czym z krzykiem wybiegła na zewnątrz i pognała w stronę domu. Gdy znalazła się na miejscu, szybko zatrzasnęła za sobą drzwi i padła na fotel.

Wciąż nie mogła dojść do siebie. Kiedy oprzytomniała, zaczęła zastanawiać się nad tym, co widziała. Stwierdziła, że jedynym sposobem na poznanie prawdy będzie wywołanie zdjęć. Wyjęła więc film z aparatu i zeszła do ciemni. Zamknęła drzwi i zapaliła lampę ciemniową. Czerwone, słabe światło zalało całe pomieszczenie. Marta włożyła film
do koreksu, a następnie do powiększalnika i zaczęła wywoływać czarno – białe zdjęcia.
Gdy skończyła, rozłożyła je na stoliku w rogu ciemni i zaczęła się im przyglądać. Nagle na odbitkach zaczęły pojawiać się czarne plamy.

Lampa zgasła. Kiedy ponownie się zapaliła, fotografie były białe. Marta była zdezorientowana. Lampa zgasła po raz drugi. A kiedy znowu się zaświeciła, zdjęcia były czarne. Dziewczyna przetarła oczy myśląc, że ma przywidzenia. W tym momencie na ścianie pojawił się czarny cień. Żarówka zaczęła mrugać. Za każdym mrugnięciem cień stawał się coraz większy. Marta odwróciła się i zobaczyła przed sobą jasną, niewyraźną postać.
Taka samą, jaką widziała w starej szopie. Widmo zbliżało się do niej… Było już tuż tuż. Marta krzyknęła…

Marek obudził się koło południa. Całą noc przesiedział nad zdjęciami Wesley'ów. Postanowił odwiedzić Martę pod pretekstem obejrzenia zdjęć, które wczoraj zrobiła.
Tak naprawdę chciał powiedzieć jej, co do niej czuje. Założył najlepszą koszulę i krawat. Kupił piękny bukiet czerwonych róż i poszedł w kierunku domu Marty. Gdy był na miejscu
i stał pod drzwiami, powiedział do siebie:
- No stary… Do dzieła!
Wyciągnął rękę, by zapukać. Kiedy tylko jego dłoń dotknęła drzwi, te otworzyły się
na oścież. Marek wszedł do środka. Aparat Marty leżał otwarty na stole.
- Marta! Marta, gdzie jesteś? – Zawołał. – Pewnie wywołuje zdjęcia… - Pomyślał.
Zszedł po schodach i wszedł do ciemni. Stanął jak wryty. Marty tam nie było. Na podłodze leżał zakrwawiony golf, dookoła którego rozrzucone były czarne zdjęcia, obok których leżała prześwietlona klisza. Na ścianach odciśnięte były długie, krwiste ślady dłoni. Marek upuścił kwiaty i osunął się na podłogę…

…Marta S. zaginęła w niewyjaśnionych okolicznościach. W jej domu znaleziono zwłoki Marka K. Przyczyną zgonu był zawał serca…

Pani Clarks z niedowierzaniem pokręciła głową i wyłączyła radio.